

Dzień 1

Żył raz oto pewien człowiek imieniem Malik. Świat czytał od prawej, pięć razy dziennie wypinał się na Zachód, a jego krajobraz mentalny stał pustynią. Płatem żółwiej skóry, rozpiętym pomiędzy kiwającym w skwarze palcem minaretu a wymarłymi koszarami po lewej. Z zetłałego na kumin czerstwego cielska – całego w zmarszczkach i łuskach światłocienia – sterczały zbrojeniowe druty, kable i rdzewiejące rury; pokrywał je gruz i skorupy wypalanej gliny. Słońce, matowe i mętne, toczyło wydmy brudu i cuchnących śmieci. Droga biegła po wybojach, zaś na poboczu – wzdęty jak kowalski miech – puchł wór padłej krowy. A pośrodku on sam: Malik Al-Suri. Pępek okręgu zakreślonego przez płaski horyzont. Sam we własnej osobie. Przykurzony, wysuszony, kucający na piętach. Z opalonymi stopami i paznokciami wrośniętymi w piasek.

Nic się nie działo, nic nie zmieniało. Jak okiem sięgnąć: niezakłócona niczym flauta. Pejzaż bez cienia mimiki, a cisza tak donośna, że z przeszłości – jak z drugiego pokoju – dało się słyszeć, jak zarżnięta przed rokiem koza Al-Suriego żuje butelki po zamzami.

Pejzaż był zgrzebnny, co innego podobrazie. Zakwiefione piękno, cudów kraina. Tam trzymał Malik bujne ogrody z fontannami bijącymi wodą perlistą, rajskie ptaki, posągi z czerwonego złota i lapis-lazuli. Fajansowe mozaiki, cieniste galerie z laterytu. Piżmo i ambrę, złotogłów i brokaty. Konie hebanowe jak diablęta; ghule, ifryty i dżiny. Święte szydło, którym Prorok był reperował sandały, jak też Jego Święty Płaszcz. Ukrywał Dwunastego Imama, Jonasza i Lota – niech Ałłach z nich rad będzie! Umm Kalthum i Omara Szarifa – niech będzie pokój nad nimi! Kryształowe misy pełne zroszonych owoców, dymiące półmiski pilawu. W bukłakach mleko gęste i słodkie niczym miód. Domy z placków durra, deszcz kielbasek z nieba. Drzewa, co rodzą klejnoty, i osły robiące złotem. I odaliski o ciałach kremowych jak skorupki jaj.

– *For me civilian life is nothing!* – oświadczył John Rambo. Z zamocowanej u podsufitki dwudziestodwucalowej klatki miał widok na usadzone dwójkami hełmy z gładko wygolonymi podbródkami. Dekatyzowane mundury oddawały zapach apretury, koła turkotały na wybojach, a autobusem potrząsało jak solniczką. Prószył piach, pannał barbarzyński upał, lecz w klimatyzowanej kapsule pojazdu utrzymywał się jako taki Zachód.

– *In the field we had a code of honor: you watch my back, I watch yours* – dodał Rambo, lecz jego słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia. Spięci kamizelkami

kuloodpornymi żołnierze smętnie kiwali się na załadowanych berylach. Wszystko skrzywione i nadęte. Poobrażane. Siedzieli w grupie, lecz nie byli razem: jak gółębie pod piekarnią.

Widoki przesuwające się za oknem nic Sebie nie mówiły. Nic a nic! W niczym nie przypominały czegoś znanego. Głowa nie umiała ich obsługiwać. Olbrzymiej plaży bez fal i golutkiego nieba. Nie czytała gorejących szybów naftowych, solnych zagonów, sianych luźno koczowniczych obozowisk – samotnych i ulotnych. Nawet nie przypuszczał, czym są. A ponieważ nie rozumiał, szybko stracił dla nich zainteresowanie. I sięgnął po prowiant.

W sakiewce z grubej zielonej folii ze znaczkiem „S” znalazł dwie konserwy, suchary kminkowe, słodkie mleko w tubce i dwie małe tytki: z herbatą i cukrem. Wsypał cukier do ust. Ciućkał zapamiętałe. Skubnął mielonki. „Załamka” – stwierdził i pożarł całą. Nadal był głodny. Bo nigdy nie był syty.

Miał przedżołądek. U rąk i nóg po sześć palców. Doił mlecznego prosiaka, kurom dawał jeść styropian. Z samych śladów racie potrafił sobie odtworzyć żywca wraz z ceną za kilo masy w skupie. Do roweru dobrać odpowiedni kształt koła. Bochen sklecić z okruchów. Wyczarować obiad z resztek. W jednej ręce zmieścić dwie głowy kapusty. Sitem czerpać wodę.

Na zabawach tańczył z powietrzem. Na ryby nie chodził, bo nie brały. Grzybów nie zbierał, bo za dużo z nimi

roboty. Za to kiedy na szybie pobliskiej fabryki makaronu pokazała się Matka Boska, z myślą o pielgrzymach jak raz urządził kram z dewocjonaliami z muszli, nitki i kolanek oraz z chemią z Niemiec.

Na wiosce wołali go Złoty. Polski Nowy Złoty było im za długo. Proste.

W nielicznych wolnych chwilach – wolnych od myślenia o Raju – Malik fantazjował o Chmurze. Niezwykłej, jak z baśni Szeherazady. Coby mu wiernie służyła, nie odstępując na krok, dniem i nocą gotowa poić i dawać wodę do ablucji, a nade wszystko spełniać wszystkie jego życzenia i zachcianki. Nie ustawał w wierze, że Ałlach, wszechmocny, wszechpotężny i pełen świetności, pewnego dnia ześle mu Chmurę. A że Bóg kocha ludzi wytrwałych – Malik czekał. Niezłomny i pełen ufności. Czekał. Trwał w bezruchu niczym skorek w uchu, niby klin w cybuchu. Jak stupor w klepsydrze.

„Zaprawdę, Bóg kocha ludzi wytrwałych i daje zaopatrzenie, komu chce – bez żadnego rachunku!”¹ Nagle coś uczyniło wyrwę w linii horyzontu i przedarło się na obrzeża świadomości Malika. Ciągnął ku niemu podobny oparom siarki obłok. Nie przestawał rosnąć, był coraz bliżej i bliżej. Oniemiały Malik jął recytować: „Nie masz boga krom Ałłacha”, na które to słowa z kurzawy wyłonił się niemożliwy, czterokołowy stwór. Srebrzysty i potężny!

Jechał szybko, więc chyba z daleka.

Generał Melville spodziewał się ich w każdej chwili. Góra już depeszowała w tej sprawie. A przecież i bez tego był kompletnie rozbity.

Stronił od wulgaryzmów, a jeśli już było to absolutnie konieczne – wypowiadał je w językach obcych. „*Bastardo!*” – klął od chwili, gdy przed kilkoma dniami przekroczył próg swej nowej kwatery. Klął, bo świat nie pozostawiał mu wyboru. „*Cane bastardo!*” – co rusz wypadało mu z ust. Istotnie: wewnątrz przedstawiało się jak po krakusie gatunków. Z powodzeniem można by je traktować jako przyczynek do studiów nad usłojeniem Bliskiego Wschodu.

Kwatara nie pozostawiała wątpliwości, że zajmujący ją przez czterdzieści lat były już dowódca koszar (obecnie na przymusowym leczeniu w Guantanamo) był dumnym potomkiem Nabuchodonozora, a przy tym wielkim zwolennikiem restauracji Babilonu. Najwidoczniej musiał też przejawiać ciągoty do dokonań kultury europejskiej – rzecz w tym, że z oświeconych rejonów świata docierały tu dotychczas jedynie krzesła, pornografia i socjalizm. Na tym nie koniec. W ostatnich latach na polecenie Dyktatora, jak do wszystkich zresztą siedzib organów państwa, na kwaterę sprowadzono samego Ałłacha.

Odkąd otrzymał nominację na dowódcę przejętej od wroga bazy, pełen był złych przeczuć. W najśmielszym z czarnych scenariuszy Generał nie przewidział jednak, że rzeczywistość może dostarczyć tylu dowodów swej

podłości naraz. Że jemu – człowiekowi ze wszech miar wrażliwemu i rozmiłowanemu w subtelnym pięknie – przyjdzie się mierzyć z tak zmasowanym plugastwem, a jego zmysły wystawione będą na działanie potencjalnie śmiertcionośnych czynników. „*Cane bastardo!*” – złorzeczył, ciskając się nocami po okrągłym, obrotowym łożu z pikowanego, liliowego weluru; budząc się w otoczeniu czerwonych gwiazd, wersetów koranicznych, sztandarów i buduarowych lamp, pod kryształowym żyrandolem z kolekcji *Wiszące Ogrody*, wśród falsyfikatów i replik zabytków sumeryjskich. – „Kundel!”.

Starczyło kilka dni, by stał się cieniem własnej świetności. Na samą myśl o konieczności przyjęcia żołnierzy, którzy lada moment zostaną przerzuceni do bazy, i kierowaniu wielonarodową dywizją Generał ślaniał się na nogach. Odłożył przewodnik *Islam w pigułce* i opadł na poduszki. Nie mógł czytać, nie mógł spać. Ze ścian stale obserwowały go portrety arabskich luminarzy (z długiego szeregu postaci rozpoznał jedynie Omara Sharifa). Z szuflad biurka i pancernych szaf wodziły za nim dziesiątki par oczu ze zdjęć ujętych w kartotece pod hasłem „Reakcja”. Popatrywały z okładek pirackich płyt CD i magazynów dla panów. Zewsząd świdrujące czarne źrenice. Śledziły go sęki z kawowego stolika i ziarnka maku na bajglu. Zdarzyło się też – choć tu już nie miał całkowitej pewności – że przechwycił spojrzenie stojącego na półce wypchanego pustynnego fenka. Występne, krwiożercze, złe.

– Ja to tam wszystko zjem. Wybredny, kurna, nie jestem. Za słodkościami to może mniej przepadam, tyle aby kawałek ciasta czy coś, a tak to może leżeć i leżeć – zwierzył się Seba śpiącemu obok żołnierzowi, który wcześniej odstąpił mu cukier. Potem opowiedział mu fajny film, który leciał ostatnio; opowiedział, jak motor kupił za śmieszne pieniądze, lecz tamten spał uparcie. Nudy, że szok! Jak w kościele. Za szybą w kółko jedno i to samo, szło stracić rozeznanie: czy to jest już postój, czy jeszcze jechanie? I ta ciasnota! Fotel zbiegł się pod nim czy sam spuchł jak drożdżowe ciasto? Wiercił się, nieborak, niby mała w torbie. Matula nie na darmo mawiała, że człowiek głupieje, jak się nie wycieka. Trochę w nosie podrażył, trochę szybę paznokciem postrugał. Uszczelkę w oknie przebadał pod kątem zepsucia. Pobawił się popielniczką, wihajstrem oparcia, ryglami beryla. Aż ostatecznie – gdy już całkiem nie szło nic robić – wziął i dopuścił się myślenia.

Zaraz obsiadły go psy, Cygan i Murzyn, zleciały się koty, kury i gołębie, bigos i szare mydło. Powiało zagrodą, barem, przystankiem. Matula odmawia różaniec, deszcz ciurka, migają paciorki domów nawleczonych na sznur drogi. Oczy zachodzą chmurami: łysnęło raz, łysnęło drugi. W mroku na jedno mgnienie rozblęsnął czerwony zetor na podwórzu sąsiadów i rozstawione na dalekiej łące łaciate pionki. Wróble i korniki na kalenicy, na płocie dziurawe garnki do cerowania. Obmył się nad piegowatą miednicą, przebrał w ciuch po domu i usiadł

na ławce pod topolą. Jak okiem sięgnąć: pola, lasy, brak zasięgu. Bujając zzutym do połowy klapkiem, rozmyślał nad tym, co porabiają chłopacy, jak skołować na jakąś flaszkę i przepojkę.

Ocknął się na widok pękatej budowli. Płynęła za oknem: piękna i namodlona. Choć miała półksiężyc, gdzie normalnie powinien być krzyż, Seba uchylił hełm i się przeżegnał.

Mógł, naturalnie, próbować temu zaradzić. Przepracować problem za pomocą dalekowschodnich technik oczyszczania przestrzeni czy rytuału kooperacji z duchem wnętrza. Nie zaszkodziłaby również seria zabiegów z zastosowaniem pochłaniacza negatywnych fluidów z otoczenia i innych produktów marki Pech-Block. Dzięki elementom dekoracyjnym, jak zdjęcia, płyty czy książki z sieci Ajkija, z powodzeniem dałoby się przekształcić to nieporozumienie w świątynię harmonii i duchowości. Ba! Niewykluczone, że zdecydowałby się sięgnąć do zasobów lokalnego rzemiosła, jakkolwiek szanse na znalezienie tubylczego wytworu w dobrym guście były – co tu dużo mówić – niewielkie.

Jeśli nic dotąd nie zrobił, to tylko przez nadzieję: ślepą nadzieję na cud, który zawróci go do domu. Najlepiej pierwszym transportem. Wierzył w to tak mocno, że przed wylotem nie pozwolił wykreślić się z zajęć pilatesu i warsztatów sommelierskich; nie zdał legitymacji Dyskusyjnego Klubu Filmowego i Klubu Przyjaciół

Sera, nawet nie pomyślał o zawieszeniu członkostwa w Elitarnym Towarzystwie Miłośników Kultury z Dużym Alfabetem.

„Odwagi, Derylu Melville!” – potrząsnął sobą Generał. – „Weź się w garść!” Włożył organiczny trykot do jogi, a następnie rozstawił się na piankowej macie, próbując ukoić umysł pozycją „pies z głową w dół”. Wszystko na nic! Ćwiczenie tylko wzmogło uporczywe pulsowanie w skroniach. Od przyjazdu właściwie nie zmrużył oka. Gdy tylko zaczynał układać się do snu, w lawendowym łożu samoistnie załączał się mechanizm obrotowy i nie było siły mogącej go zatrzymać. Na tym nie koniec. Bywało, że do spinu dołączał efekt „światło i dźwięk”, a wirującą z posłaniem szlachetną istotę Generała smażyły biczyśka stroboskopu i bollywoodzkich szlagierów.

Wystarczyło kilka dni tych wątpliwych rozrywek, by poranionemu psychicznie Generałowi objawił się tytuł wspomnień wojennych, które miał nadzieję pewnego dnia wydać. Autobiografia *Torturowano mnie rynsztokiem* nie mogła nie stać się bestsellerem.

Choć z głodu był próżny, jakby szakał wyssał mu wnętrzności, Malik wiedział, że nie będzie dziś zasypiał o pustym żołądku. Co więcej, nie zamierzał zadowolić się byle pieczonym szerszeniem. „Zaprawdę, Bóg daje zaopatrzenie, komu chce – bez żadnego rachunku!” Z łaski Ałłacha otrzymał nowinę, teraz pozostało ją tylko korzystnie spożytkować. „Komu donieść o srebrnym autobusie

i cudzoziemskiej armii, by zaskarbić sobie słuszną nagrodę?” – wahał się Malik. – „Któż na tyle łąsy wieści, że nie poskąpi poczęstunku, byle je posiść?” Brzuch go naglił, czas poganiał. Uwolnił więc stopy z sideł pustyni, a konkretnie głęboko zapuszczone w piasek paznokcie, i wyruszył w drogę do Kadiego.

Dawnymi czasy Malik bywał nosiwodą na plantacjach drzew pistacjowych; najmował się też u bogaczy, by w ich zastępstwie odbywać piesze odcinki pielgrzymki do Mekki. Później powierzył się światu rojeń; przez lata nie robił z ciała użytku i nic nie zostało z dawnej tężyzny. Wieści swoje ważyły, a i bez tego szło się ciężko. Ukojenie w znoju chodzenia przyniosła staroarabska pieśń:

Ach, jak wiele z tego bym dał,
Czego nie mam,
A mieć bym chciał,
Za latający dywan!

– ...zapewnienie harmonii... – wygłosił Generał Melville, aplikując dyskretną ilość perfum na swą rasową szyję. Zgodnie z regułami sztuki autoprezentacji i wystąpien publicznych ćwiczył przed lustrem powitalny spicz do żołnierzy. Odstawił flakonik i zerknął na kartkę. – ...zapewnienie bezpieczeństwa i stabilizacji... – sprostował. Góra przesłała szyfrogramem indeks słów, które musiały być użyte w *exposé*, co do reszty miał swobodę.

Jeśli mógłby sobie pozwolić na absolutną szczerość, co nie wchodziło w rachubę, przywitałby tych chłopców słowami: „nie martwcie się, że tu przyjechaliście. Cieszcie się, że oni nie przyjeżdżają do nas!”. Nie o szczerość tu jednak chodziło. – ...szeroko rozumiane wsparcie dla ludności cywilnej... – Nareszcie mógł się wykazać i nie zamierzał zmarnować okazji zaimponowania samemu sobie. A trzeba wiedzieć, że Generał był wobec siebie niezwykle wymagający. Miał świadomość, że jest jedynym humanistą w promieniu setek, jeśli nie tysięcy, mil. A to zobowiązuje! – ...pomoc w odbudowie infrastruktury, a także demokratyzację państwa... – Przeczesał palcami włosy, by nadać fryzurze objętość. Zawsze lubił bawić się modą, lecz dopiero gdy na kursie kontrwywiadowczym skierowano go do inwigilacji środowiska emigrantów irańskich, jego świadomość modowa osiągnęła pełnię. Zaczął też regulować brwi. – ...wolność, dostatek i bezpieczeństwo... – Głos Generała z powodzeniem mógłby wystąpić w reklamie polis na życie. – ...misja ma charakter pokojowy, owo, owo, owo – przeszedł do gimnastyki języka i warg dla poprawy dykcji. Na koniec w ukłonie dla prostych umysłowości przećwiczył pokazywanie kciukiem „OK”, założył ray-bany i zakończył wystąpienie słowami: – Nigdy nie zapominajcie, że naszą najlepszą bronią jest uśmiech!

„Dziwnie, chłopie, to jest w trumnie” – powiedział kiedyś Pietka Rybkin. Łatwo takiemu mówić! Pietka był z ludzi luźnych. Handlował po bazarach fajkami, bywał

w świecie, widział niejedno. A taki Seba? Odkąd zaczepił się w wytwórni oranżady, stale tylko: dom, praca, praca, dom. Nigdzie z Matulą nie wyjeżdżali, bo robiła u piekara, a od chleba, wiadomo, nie ma wolnego. Dzisiaj Seba miał utracić niewinność, pierwszy raz w życiu zasypiając nie na własnym tapczanie – to jak ma nie być dziwnie? Kanadyjka pod nim skrzypi, śpiwór jak wieprzowa kiszka, a jasiek tak rzadki, jakby do wyspy dali dmuchawce.

Nim zjechali do bazy Babilon, widział pierwszego terrorystę: siedział w kucki na piasku; skórę miał ciemną jak od cebulowych łupin, a gęba to już całkiem utyłana niby u pogorzelca. Z włosów, brody i trochę z ubrań był podobny do Pana Jezusa w Ogrodzie Oliwnym – ale Seba nie dał się nabrać! Na szkoleniu przed wyjazdem jeden oficer ich nauczył, że wróg jest cwany i stosuje kamuflaż. W głowie się nie mieści, ale podobnież taki terrorysta potrafi podać się za dzieciaka, a nawet, kurde, pustynnego fenka czy psa.

W kraju im gadali jedno, a tu drugie: że żadnej podobnież wojny nie będzie. To po kiego było taki kawał jechać? W gości czy jak? Dziwne i to się Seba wydało, ale może coś przekręcił albo nie dosłyszał? Zresztą Generał, co ich witał, też jakiś niezbyt wyraźny. Tak szczerze – to Seba zapamiętał tylko jego czarne okulary. I nic więcej. A potem dali go do kwatery, co też była ździebko niedorobiona. Seba widział klamkę, ale nie zauważył drzwi. Widział ściany, ale jakby nie było z nimi dachu i podłogi. Nawet nie zauważył, kiedy spalił papierosa. Nim się

zorientował, kończył już drugiego. Metalowy regalik stał od połowy niewidzialny, za nim zawieszony w powietrzu oparcie plastikowego krzesła. O! A niebo całkiem mu umknęło! Były też inne braki! Tu nic, tam nic. Plamy jak na starym oleodruku.

„Aby mi się tylko z tego wszystkiego w głowie nie pomieszało i bzika jakiegoś żebym nie dostał. Tego by tylko brakowało. Nie darmo nieboszczka prababka mawiała: «Im dłuższa smycza, tym bardziej się płacze»” – pomyślał Seba i zapadł w pusty sen.